

Mario Farneti

ZACHÓD

tytuł oryginału: *Occidente*

opowiadanie pochodzi z antologii *Fantafascismo!: storie dell'Italia ucronica*,
red. Gianfranco De Turris (2000, Rzym: Settimo Sigillo)



by Łukasz Kroenke

Pojazd Alfa 2500 z herbem Ochotniczej Milicji Bezpieczeństwa Narodowego z dużą prędkością przemierzał w rzymską ulicę Nomentana. Poprzedzała go sztafeta trąbiących motocyklistów. Wzdłuż ulicy patrole milicyjne ubrane w mundury bojowe zabezpieczały skrzyżowania, aż do wejścia do willi Torlonia. Straż w mundurze galowym bacznie warowała na flankach bramy w momencie, gdy samochód zmierzał w stronę wejścia głównego do willi.

Major Romano Tebaldi, młody oficer OVRA¹ wysiadł z auta, nie czekając na otwarcie drzwi przez kierowcę. Wszedł po wysokich schodach willi, podskakując przy tym parę razy i wszedł do wielkiego holu, na ścianach którego wisiały mozaiki przedstawiające/ilustrujące bitwy [z czasów] trzeciej wojny światowej aż do upadku Moskwy: zakończenie drugiej wojny światowej wraz z kapitulacją Niemiec i końcem nazizmu, przystąpienie Włoch do wojny w 1945 roku po stronie alianckiej po starciu z Armią Czerwoną nad Odrą, bitwa o Berlin, bitwa o Don. Wreszcie kapitulacja Moskwy, pokonanej przez Legiony Milicji Faszystowskiej, które jako pierwsze wkroczyły do nawpółniszczonych bombardowaniami miast. Następnie uprowadzenie Stalina i wywiezienie go w mundurze żołnierza ciężarówką wycofującej się Armii Czerwonej. Na innej ścianie [powiewały] portrety bohaterów trzeciej wojny światowej,

¹ OVRA (skrót od wł. *Organizzazione Volontaria per la Repressione dell'Antifascismo* – Ochotnicza Organizacja ds. Zwalczenia Antyfaszyzmu) – tajna policja polityczna powołana w celu walki z wrogami reżymu.

[był] wśród nich jego ojciec Amedeo, pułkownik milicji, poległy na przedmieściach Moskwy w pierwszych dniach czerwca 1947 roku.

De Gianni, doradca Duce, surowo wykonał/wzniósł salut rzymski, ale Tebaldi odpowiedział z roztargnieniem i nie zatrzymując się podążył środkowymi schodami. Znał dobrze drogę, gdyż w ostatnich latach wódz niejednokrotnie wzywał go do siebie w delikatnych sytuacjach/sprawach.

Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami prywatnego gabinetu, śledzony przez De Gianniego, który z całej siły/całą siłą daremnie próbował go dogonić. Odczekawszy parę minut w ciszy, roztrzepany spoglądał na dwie wielkie różgi liktorskie z brązu, połączone po bokach ogromnych drzwi z drzewa orzechowego, aż te otworzyły się i ujrzał drobną i wychudzoną postać/sylwetkę osobistego sekretarza Paganisa, młodzieńca po trzydziestce, który jednak wyglądał na dwa razy większego/starszego(?).

Ściany ogromnego pokoju, przyozdobione przez lizenowe fugi, pokryte były obszernymi panelami z jaskrawoczerwonego jedwabiu, pośrodku których znajdowały się hermy niektórych cesarzy rzymskich. Ogromne, przeszklone drzwi były niemal w całości zasłonięte ciężkimi, aksamitnymi firanami w neoklasycystycznym stylu, które ledwo przepuszczały światło z zewnątrz.

Po środku sufitu zawieszony był ciężki, kuty żyrandol z 24-oma żarówkami w eklektycznym stylu, którego okazały, ponury cień padał w półmroku.

Mussolini siedział na ciemno-skórzanym fotelu z wysokim oparciem, za palisandrowym biurkiem zdobionym sztukaterią z połączonego mosiądzu, na którym znajdowała się brązowa lampa z opalinowym kloszem o odcieniach zieleni i szmaragdu, postawiona na kolumnie doryckiej. Po prawej stronie stała ciemnoorzechowa biblioteczka cesarstwa z wysokim tympanonem podtrzymywana przez cztery filary. Przechowywane w niej były tomy ułożone rocznikami, w tym opublikowane z okazji 50. rocznicy panowania faszystów, której obchody zakończyły się przed paroma dniami, z okazji święta 28 października.

Były, sędziwy dyktator siedział z twarzą bladą jak ściana, ubrany jak za dawnych lat w czarną koszulę bez żadnego napisu ani wzoru.

Na ścianie za nim [powiewała] ogromna płaskorzeźba z brązu, przedstawiająca rzymskiego orła w laurowej koronie, szponami chwytającego różgi liktorskie.

Major znieruchomiał na baczność wykonując salut rzymski. Duce odpowiedział mu podnosząc także prawą dłoń i zaprosił go, by spoczął, zegnając następnie Paganisa.

– Sytuacja jest poważna – rzekł Duce. – Jak pewnie wiesz, tej nocy niespodziewanie zmarł Ciano, został prawdopodobnie otruty. Pretendentów do sukcesji jest wielu, jednak niewielu wartościowych ludzi wśród nich. Wielka Rada jest podzielona i nie potrafi wskazać następcy. Wielu jej członków porozumiało się z dworem królewskim, który usiłuje zamknąć nam drogę i zapobiec powołaniu stabilnego rządu, albowiem chce odzyskać to, co faszyzm i naród włoski odebrał mu w '22 roku. To już lata odkąd przedstawiciele dworu knują za naszymi plecami, odkąd ogłosiliśmy neutralność podczas drugiej wojny światowej. Jak dobrze Ci wiadomo, cztery lata temu, w trakcie rozruchów w 1968 roku, kiedy opozycja żądała, byśmy wycofali nasz kontyngent z Wietnamu, król próbował rozwiązać milicję, ale Ciano był wtedy twardy i nie zezwolił na to. Jednak teraz wszystko wraca do gry...

[Duce] zrobił długą przerwę, zmarszczył czoło i skierował swój magnetyczny wzrok na młodego oficera, nieprzyćmiony ani trochę zaawansowanym wiekiem.

– Jest jedna rzecz... rzecz, którą oni chcieliby mieć... ale której nie mogą nigdy otrzymać... Bo wtedy orzeł – zwrócił się w stronę płaskorzeźby i zatrzymał się krótko patrząc na nią – ponieważ wtedy orzeł wznowi swój lot. I na zawsze opuści naszą ziemię i będzie szukał nowego schronienia dla swego potomstwa.

Tebaldi na próżno próbował uchwycić, jakie mogło być znaczenie słów wodza.

– Rozumiem Twój niepokój. Ale nadszedł moment, abyś się dowiedział... Ja i moje nieliczni najwierniejsi dzieliliśmy pewną tajemnicę... tajemnicę, której teraz Ty staniesz się stróżem, cokolwiek wydarzy się jutro...

– Ja byłem Ci zawsze wierny i będę aż do końca... – powiedział Tebaldi.

Duce uciszył go szybkim ruchem ręki tak, jakby nie chciał już rozmawiać o tym, co było oczywiste.

– Wiem o tym. Wiem, że byłbyś mi wierny aż do śmierci tak jak twój ojciec... Chcę opowiedzieć Ci historię, która rozpoczęła się w połowie lat dwudziestych, kiedy wszczęte zostały pierwszy kontakty z hierarchami kościelnymi, które doprowadziły do podpisania konkordatu z Kościołem Katolickim w 1929 roku. Moi informatorzy w kurii z natarczywością opowiadali mi o skarbie, który od wieków znajdował się w posiadaniu Kościoła i strzeżony był przezeń z całkowitym oddaniem: insygnia Cesarstwa Zachodniorzymskiego. Na mocy tajnego protokołu podpisanego przeze mnie i kardynała Gaspariego w przeddzień zawarcia Traktatów Laterańskich, Kościół podarował mi starożytnie insygnia cesarskie w zamian za uznanie przeze mnie państwa-miasta Watykan. Od tego momentu wąski krąg faszystów stał się wyłącznym strażnikiem najcenniejszego symbolu rzymskości. Ale ktoś z Watykanu poinformował również króla, który wielokrotnie kazał – mimo, że nadaremnie – dostarczyć sobie insygnia, które barbarzyńca Odoaker wymusił od Romulusa Augustulusa i odesłał je imperatorowi Cesarstwa Bizantyjskiego... a nowi barbarzyńcy chcą je na nowo wykraść...” Przerwał nie kryjąc bólu na twarzy, który przysłonił jego spojrzenie. „...Za chwilę król ogłosi stan wyjątkowy i nazajutrz przeprowadzi zamach stanu. Koszary milicji zostaną otoczone przez wojsko i policję królewską, a wszyscy członkowie Wielkiej Rady Faszystowskiej – aresztowani. Prawdopodobnie zamach stanu się uda, ponieważ władca może liczyć na wsparcie wielu narodów zachodnich, naszych wiarołomnych sojuszników, którzy działają na naszą niekorzyść od czasu upadku Moskwy, odległego 8 czerwca 1947 roku.

– Ale król nie może zdradzić narodu włoskiego... – powiedział oficer, poruszony rewelacjami wodza.

– Może zrobić wszystko. Ma po swojej stronie środki przekazu, wojsko i policję. Nam każe się milczeć... a ten, kto przegrywa – nie ma racji. Dlatego będą próbowali odbić insygnia, by zyskać jeszcze większą legitymację do korony cesarskiej, którą dopiero ja w 1936 roku przyznałem królowi Włoch. Dlatego włoski władca w tym momencie stanie się w pełni cesarzem Zachodu. I będzie miał prawo podjąć decyzję o tym, czy imperium będzie trwało wiecznie, czy przestanie istnieć, delegitymizując również faszyzm. I właśnie tego ostatniego dokona król. Jego pierwszą decyzją będzie likwidacja wszystkich kolonii i delegalizacja Narodowej Partii Faszystowskiej, tak jak chcą tego nasi przeciwnicy, by zyskać reputację władcy postępowego, demokracji akceptowanego przez giełdy papierów wartościowych i międzynarodowe korporacje. Zrezygnuje w ten sposób z insygniów, które wylądają za oceanem, w sejfie jakiegoś muzeum w Los Angeles albo w Nowym Jorku, a Rzym utraci na zawsze symbol swej starożytnej okazałości.

„Musimy zareagować na czas! Król nie może zrealizować swego planu. Trzeba zmobilizować milicję, przejmujemy ministerstwa i środki przekazu... Ty, wodzu, musisz przemówić do Włochów i jeśli będzie trzeba, przejąć pełnię władzy!” – krzyknął Tebaldi.

„Nie, ja już jestem za stary i mógłbym zrobić niewiele... Niestety wszystko jest teraz w ich rękach, tylko na nas czyhają, abyśmy przeprowadzili zamach stanu... W takim przypadku byłby to prawdziwy koniec, ponieważ zgładziliby nas w jeden dzień”.

„W takim razie nie zostaje nam nic innego tylko się poddać...”.

„Nie, musimy przełamać również ten kryzys. Dlatego wezwałem Ciebie. Nie wiem, ile dni życia mi jeszcze pozostało, z pewnością niewiele zważywszy na mój wiek. Ale nie chcę umierać w strachu patrząc jak niszczy dzieło moje i wielu towarzyszy, takich jak Twój

ojciec, którzy poświęcili swoje życie, aby bronić Zachodu... Dlatego powierzam Ci bardzo ważną misję bezpiecznego wywiezienia insygniów poza Tybr. Będziesz musiał dostarczyć je prawowitymi właścicielom... do Watykanu. Ponieważ właśnie tam jest naturalna siedziba cesarstwa. A biskup Rzym jest nie tylko prawdziwym następcą Chrystusa, ale i Cezara. Królowie i politycy to oszuści. To ostatnia danina wodza faszyzmu na rzesz Kościoła rzymskiego przed stawieniem się na Sąd Boży”.

Mussolini wolno, ale zdecydowanie podniósł się z fotela i skierował się w stronę ogromnych orzechowych drzwi, za którymi kryła się winda. Wezwał ją przyciskiem i przesuwne drzwi otworzyły się. Winda zjechała kilka pięter w dół, aż do podziemi willi, w których mieści się opancerzone pomieszczenie strzeżone przez dwunastu uzbrojonych agentów i doskonały system telekamer.

„Insygnia są tutaj. Teraz Ci je przekazę. Muszą znaleźć się w Watykanie do wieczora”.

Jeden z agentów wprowadził kod na klawiaturze i ogromne pancerne drzwi powoli otworzyły się, eksponując w swych wnętrzach ogromną szkatułkę ze złota i kości słoniowej pokrytej płaskorzeźbami, zdobiącymi ją pośrodku.

„Tutaj jest przechowywany najcenniejszy skarb Rzymy, samo jego serce... Uczyń tak, by nie został sprofanowany”.

Agenci ochrony zamknęli szkatułkę w skórzanej walizce, przygotowana specjalnie, by móc ją pomieścić i podali ją Tebaldiemu, wraz z przenośnym radiotelefonem.

„Ten aparat jest dostrojony do szczególnej częstotliwości. W odpowiednim momencie otrzymasz instrukcje. Nie rozstawaj się z nim nigdy... i niech Bóg będzie z Tobą”.

Duce pożegnał się, próbując ukryć łzy, które pokryły jego oczy, rozbłyskujące/tryskające wściekłą dumą.

Na zewnątrz willi w konwoju złożonym z pięciu samochodu o przyciemnionych szybach na Tebaldiego czekało kilkunastu uzbrojonych po zęby bojówkarzy.

Oficer dowodzący konwojowi zameldował: „Poruczniku Casati, na rozkaz!”, mówiąc donośnym głosem. Tebaldi odpowiedział na salut bez patosu. Porucznik zaprosił go, by wsiadł do opancerzonego auta znajdującego się w środku konwoju.

„Musimy kierować się do Pałacu Weneckiego i tam oczekiwać na rozkazy. Na szczęście kontrolujemy cały ten obszar” – powiedział porucznik w trakcie, gdy pięć potężnych pojazdów Alfa 2500 odjeżdżały z willi Torlonia wzniesając chmurę pyłu.

Wjazd przez bramę Porta Pia był zablokowany przez policję królewską, przez którą utworzyła się długa kolejka samochodów, zamykając dostęp do Via XX Settembre, ale opancerzone auto Tebaldiego przejęło przewodnictwo w konwoju i przy pełnej prędkości przełamało blokadę, w wyniku czego dwa samochody sił porządkowych z włączonymi syrenami ruszyły w pościg.

Konwój przejechał przez plac przy Kwirynale z najwyższą prędkością, nie zwracając uwagi na pojazdy, które tamowały ruch, aż w końcu dojechał w okolice Placu Weneckiego, który zajmowały oddziały X Mas wyposażone w samochód pancerny i ciężkie wozy, które rozmieściły serię blokad przeciwczołgowych oraz gniazda karabinów maszynowych w celu obrony garnizonu. Strzelcy X oddali kilka serii strzałów ostrzegawczych niedaleko od samochodów policji królewskiej, które wycofały się z pościgu.

Tebaldi i jego ludzie dostali się do wnętrza Pałacu Weneckiego przez balkon, z którego powiewała trójkolorowa flaga już nie z herbem królewskim, ale z różgami liktorskimi z obosiecznym toporem nad nimi.

W tym momencie z radiotelefonu wydobył się sygnał bip, po którym damski, pozbawiony wyrazu głos, oznajmił: „Od tej chwili Twoje imię brzmi: *orzeł*, potwierdź odbiór”.

„Tu orzeł, potwierdzam” – odrzekł Tebaldi.

„Orle, nasłuchuj i czekaj na dalsze instrukcje” – odezwał się głos w chwili, gdy nad niebem rozgrzmiewały dwa F104, które wykonując zwrot w stronę ataku, niebezpiecznie zbliżały się do szczytu Ołtarza Ojczyzny i oddalały się w stronę Palatynu.

„Przekłęci, zastraszają nas” – złorzeczył Tebaldi w czasie, gdy porucznik Casati rozkazał jednemu ze swych ludzi odbezpieczyć raketę ziemia-powietrze z metalowego futerału.

„Przy następnym takim przelocie odpalę jedną!” – rzekł ze wściekłością oficer.

„Przestań, nie podejmuj żadnych kroków. Nie jesteśmy tu po to, by robić wojnę czy ulec prowokacjom. Mamy ważniejszą misję do wykonania. Skupmy się na niej”.

Casati wypełnił rozkaz nie skrywając wyrazu buntu, natychmiast stłumionego przez surowe spojrzenie Tebaldiego.

„Orle...” – zadzwonił radiotelefon.

„Tu Orzeł, słucham”.

Przenieś się w miejsce kwadratu Hotel Romeo 16 Kilo, punktualnie o 19.30. Na miejscu znajdziesz kontakt. Hasło: *Ramodea*” – zakończył głos.

„Przyjąłem. Hasło *Ramodea*”.

Major rozłożył na stole plan Rzymu i pokazał współrzędne.

„Musimy skierować się na Wyspę Tyberyjską, mamy godzinę”, powiedział zwracając się do Casatego.

Tymczasem słońce zaczynało zachodzić, a wyludnione z powodu godziny policyjnej ulice przesywały wiązki czerwonego światła przerywane przez samochody policji królewskiej.

„Musimy wyjść sposiłkowani z Pałacu Weneckiego i zająć Wyspę Tyberyjską” – zasugerował Casati.

„Nie, ten manewr zostałby natychmiast zauważony i z pewnością stracilibyśmy kontakt. Musimy wyjść małą grupą. Poruczniku, wybierzcie czterech najlepszych ludzi i ruszamy!”.

Casati wybrał czterech weteranów, którzy wraz z nim walczyli w Wietnamie i poprowadził ich do holu Pałacu Weneckiego tak, by Tebaldi wdrożył ich na temat misji.

Tebaldi zdjął cywilny ubiór i również założył czarny, bojówkarski uniform. Od lat go nie wkładał, więc wywołało to w nim silne emocje.

Jako człowiek konkretny, mówił krótko do swych ludzi, kładąc akcent na rangę misji, którą Duce mu powierzył. Następnie przystąpił do sprawdzenia broni jedna po drugiej. Chodziło o karabiny automatyczne typu Beretta XM177, przeznaczone dla oddziałów specjalnych, które uczyły się ich używać w Wietnamie. Nakazał nabijać magazynki podwójnie/parami za pomocą grubej taśmy izolacyjnej, by zagwarantować szybkie naładowanie.

Patrol opuścił bazę kontrolowaną przez siły X Mas, w którym zapadła już ciemna noc. Przedelfował w cieniu pod Kapitołem, dotarłszy następnie w szeregu pod Teatr Marcellusa znajdujący się na ulicy o tej samej nazwie. Przez gęstą pierzynę chmur i unoszącego się nad miastem smogu ukradkiem wyglądał Księżyc, złudne/iluzoryczne którego światło przebijało się wzdłuż fasady imponującej i mimo rozlicznych szkód, doznanych na przestrzeni czasu budowli, która w każdym swoim kamieniu/calu zachowała wciąż wyraz niegasnącej/nieustającej wyniosłości/doniosłości.

Patrol minął budynek i zapuścił się w krętych i wąskich uliczkach getta aż przy Portyku Oktawii. Potem, okrążywszy synagogę, wydostał się na ulicę biegnącą wzdłuż Tybru i zatrzymał się przed wjazdem na starorzeczski Most Fabrycjusza łączący Wyspę Tyberyjską z lewym brzegiem rzeki. Okolica pograżyła się w całkowitych ciemnościach, toteż żołnierze musieli użyć latarek na podczerwień. Nigdzie wokół nie było śladów/oznak życia. Również stary szpital bonifratrów na wyspie wydawał się zupełnie opuszczony.

Kilku bojówkarzy wkroczyło na most i przedostało się na wyspę, po czym wskazali reszcie patrolu, że droga jest wolna. Jeden z nich pozostał na czatach przy wjeździe na most, przy czterogłowych hermach.

Tebaldi i Casati ruszyli na środek wyspy i zaczęli się przed Bazyliką świętego Bartłomieja.

„Jest 19.28” – powiedział porucznik. „Jesteśmy prawie na miejscu”.

Wydawało się, że czas się zatrzymał. Także Tybr, który delikatnie pieścił wyspę, jakby wstrzymał bieg przez podejrzenie i niepokojące spojrzenie węża odbitym na skrzydle wyspy, które starożytni nazywali „statkiem Eskulapa”.

„Jest 19.30!” – wykrzyknął Casati. „Coś tam się rusza po drugiej stronie rzeki, zbliża się do Mostu Cestiusza...”.

„To samochód. Jedźcie w naszym kierunku. Pozostaniemy w ukryciu i poczekajmy na jego ruch”.

Czarne bmw, przejechawszy most, zatrzymało się i wyłączyło światła. Z czytnika na podczerwień Tebaldi zdołał zauważyć, że w środku poza kierowcą jest tylko jedna osoba.

W tym samym momencie zatrzeszczało radio, jednak przekaz był mocno zakłócony, toteż nie udało się niczego zrozumieć.

Drzwi auta otworzyły się i wysiadł z niego mężczyzna w sutannie i zatrzymał się pośrodku placu.

Tebaldi przekazał walizkę Casatiemu i po wyjściu z cienia skierował się w stronę duchownego.

„Ramodea” – powiedział nieznajomy.

„Orzeł” – odrzekł Tebaldi.

„Gdzie jest walizka?” – zapytał zakonnik.

„Jest tutaj, ale nie otrzymałem rozkazu na tę okoliczność. Muszę czekać”.

„Nie ma na co czekać. Musisz mi ją przekazać natychmiast, nie ma minuty do stracenia”.

„Przykro mi, ale nie otrzymałem instrukcji na tę okoliczność” – potwierdził major.

Zapadła chwila ciszy. Tebaldi już miał chwycić radiotelefon, kiedy w tym samym momencie silne promienie świetlne wydobywające się z lamp fotoelektrycznych zainstalowanych na przeciwnym brzegu Tybru całkowicie oświetliły wyspę.

„To zdrada! To nie jest ksiądz... to funkcjonariusz królewski” – krzyknął Casati.

Tebaldi wrócił się do niego i wydarł mu walizkę z ręki.

„Poddajcie się, w imieniu króla!” – nakazał mężczyzna w sutannie w czasie, gdy chmara żołnierzy otoczyła plac.

„Poddajcie się!” – powtórzył raz jeszcze, „tak uratujecie życie!”.

W odpowiedzi Casati chwycił za karabin maszynowy i ze swoimi ludźmi otworzył ogień. Kilku agresorów upadło na ziemię, ale jedna z lamp, trafiona przez serię z karabinu, eksplodowała z hukiem.

„Nie strzelajcie!” – krzyknął fałszywy ksiądz do swoich ludzi, „Nie możemy uszkodzić walizki. Bierzcie ich żywych!”.

Tebaldi wiedział, że wszelka próba stawiania oporu będzie daremna, gdyż żołnierze wcześniej czy później pokonaliby ich. Zdecydował się więc postawić wszystko na jedną kartę.

Rozkazał Casatiemu, by ten dał mu granat i rolkę taśmy izolacyjnej używanej do magazynków. Wziął granat i przymocował go taśmą do walizki. Następnie położył palce na zapalniku.

„To teraz chodźcie po mnie, łajdaki!”.

Napastnicy znieruchomieli zdeorientowani. Także ich dowódca został wzięty z nienacka i wycofał się.

„Nie rób głupstw, Tebaldi” – krzyknął. „Nie warto, byś tracił życie za nic nie znaczący przedmiot”.

„Akurat nic nie znaczący... Zmobilizowaliście połowę armii, by go przejąć! Ale go nie dostaniecie. Jeśli nie pozwolicie nam odejść, pociągnę za zapalnik...!”

Wypowiadając te słowa, Tebaldi wycofał się w stronę Mostu Fabrycjusza, asekurowany przez swoich ludzi z wycelowaną bronią w czasie, gdy oddział żołnierzy powoli zbierał się do pościgu za nimi.

Ale nagle, kiedy byli już w połowie mostu, znikąd pojawiły się dwa motocykle terenowe, które z ulicy wzdłuż Tybru zbliżały się do nich.

„Wskakuj, szybko!” – krzyknął jeden z młodych motocyklistów, „inaczej nie wyjdiesz stąd żywy!”.

„Ale, ale... kim, wy dwaj, jesteście!?”

„Nie pytaj. Jesteśmy od Ramodei... tej prawdziwej. Pospiesz się!”

Młody mężczyzna chwycił walizkę za rączkę, ale Tebaldi postawił opór, przewracając motor na ziemię. Chłopak kocim skokiem podniósł się i ruszył za Tebaldim, który nieoczekiwanie wypuścił walizkę za barierką mostu, podczas gdy granat zablokował się i nie wybuchnąwszy upadł na bruk przed nogami żołnierzy, wywołując ogromny zamęt.

Dwaj motocykliści bez chwili zawahania wykorzystali zamieszanie, podnosząc Tebaldiego za pachy i wskoczyli z nim do Tybru. Mimo, że był on znakomitym pływakiem, nieprzygotowany na gwałtowny kontakt z wodą, doznał wstrząsu i stracił przytomność.

Długi, niemy pas ciemności stanął mu przed oczami. Niepokojąca nicość, tchniona przez nieuchwytną czyjąś obecność, która go dotykała i cisnęła, aż do chwili gdy, gdy świecący punkt pojawił się nad nim.

Odzyskał przytomność, leżąc nad brzegiem Tybru. Była ciemna noc, Księżyc górował wysoko na niebie. Lekki wietrzyk o słonym posmaku przenikał przez jego wilgotne ubranie, dostarczając lekkich dreszczy.

Podniósł się zamroczony i przestraszony. Na jego nogach leżała walizka, w ogóle nietknięta, ale i żadnego śladu po młodzieńcach. Nie był już w stanie dostrzec Wyspy Tyberyjskiej, ukrytej pewnie za zakolem rzeki.

Ruszył brzegiem w poszukiwaniu schodów, by wejść na trawertynowe wały, lecz nie było śladu ani schodów, ani wałów!

Przeżalony rozglądał się wokoło. Widok był zupełnie zmieniony: nieznana rzeka przecinała równie nieznanie miasto, złożone z niskich budynków, których regularne i symetryczne dostarczały wrażenia harmonii i spokoju. Złoczone dachówki świątyni odbijały delikatne, tęczne światło, które unosiło się nad przejrzystym niebem, podtrzymywane przez delikatną parę znad rzeki.

Przy słabym świetle Księżyc dostrzegł wąską ścieżkę, która prowadziła znad brzegu w górę aż do lasu. Przemierzył kilka kroków dopóki, dopóty nie przyciągnął jego uwagi ledwo uchwytny dźwięk fletu, niesiony przez podmuchy ciepłego wiatru. Instykt prowadził go w stronę muzyki mimo, że las robił się coraz gęstszy, niemal nieprzebyty. Lecz drżące światło przenikało przez liście, pozwalając dostrzec cel ponad płataniną.

Następnie drugie światło i kolejne. Widowisko płomyków oświetlał szeroką łąkę i wytyczało drogę prowadzącą do schodów świątyni otoczonej dębami, wzniesionej u stóp ciemnego wzgórza.

Była to świątynia nietypowa, której Tebaldi nie był w stanie rozpoznać jako, że w wyobrażeniu faszysty świątynie musiały być śnieżnobiałe, z marmurowymi kolumnami, okazałe i surowe. Ta natomiast była małym, drewnianym przybytkiem, obfitującym w wielobarwne zdobienia, przedstawiającymi zwierzenia i wyimaginowane miejsca, a pośrodku tympanonu (bębna) rozblyskiwała gliniana postać bogini siedzącej na złotym tronie. Obraz

orla z rozłożonymi skrzydłami wznosił się na akroterionie (naszczytniku), strzeżonego przez dwóch chłopców uzbrojonych w obosieczne topory.

Tymczasem dźwięk fletu coraz bardziej przyspieszał tak jakby nadawał rytm w jakimś frenetycznym/szalonym tańcu.

Wejście do przedsionka świątyni domykały wrota, zbudowane z płaskich drążków z purpurowo-czerwonego drewna ułożone po przekątnej tak, by tworzyły przestrzeń w kształcie rombu. [Tebaldi] zbliżył rękę do wrót, które otworzyły się powoli. Nawa pogrążona była w półmroku, ledwo oświetlanego światłem nieznanego pochodzenia. Na wysokości trzech czwartych nawy stał pusty tron, a u jego stóp dwóch kruczowłosych młodzieńców grało na podwójnym flecie. Na widok mężczyzny chłopcy zaprzestali na chwilę gry, a ich twarze pokryło tajemnicze spojrzenie. Muzyka stała się jeszcze bardziej melodyjna i topniejąca, a z sufitu opadały różowe płatki deszczu, którego intensywna woń szerzyła się po całej długości nawy.

Tebaldi usiłował zbliżyć się, by dotknąć tronu, lecz jego dłoń gwałtownie napotkała na niewidzialną barierę, która oddzielała go od otaczającego pomieszczenia. Wtedy jeden z młodzieńców podniósł się, chwycił matę z purpurowo-czerwonego jedwabiu wyszywanego złotem i położył przed nogami mężczyzn, proponując mu, by usiadł. Tebaldi zgodził się i mimo, że był wstrząśnięty, usiadł na macie.

Szczególna atmosfera miejsce i przyjęta poza skłoniły go, by zamknął oczy, zezwalając, by jego umysł uwolnił się od ciała.

Przez chwilę widział siebie, kiedy był dzieckiem. Rozpoznał swojego ojca w mundurze milicji, krótko przed wyprawą na Moskwę, do której ten wkroczył na czele swojego pułku, lecz z której już nigdy nie wrócił... Następnie dzień zwycięstwa, świętujące miasto, w którym nadaremno szukał pośród rozradowanych żołnierzy twarzy ojca. A potem łzy rozpaczy, gdy ktoś z rodziny wytłumaczył mu, że ojciec już nigdy nie wróci. Poczul rękę mamy, która dotykała jego włosy i policzki, by dodać mu otuchy... Chwilę później niespodziewanie zobaczył siebie na Moście Fabrycjusza, otoczony przez nieprzyjaciół... Ostatnie chwile jego życia... Właśnie tam umarł. Widział raz jeszcze twarz ukochanej matki obok niego, jej ciemne włosy... Moment później i tamta twarz rozplynęła się pogrążona przez mgłę, za to ukazała mu się twarz innej kobiety, o młodym i słodkim wyrazie.

Gdy ponownie otworzył oczy, ta kobieta stała przed nim, pośrodku nawy świątyni. Miała na sobie białą tunikę o purpurowo-czerwonych konturach z miedzianą zapinką, przymocowaną do prawego ramienia, przedstawiającą czteropłatkową różę.

– Czy ja umarłem? – to pierwsze pytanie, z którym zwrócił się do nieznanym.

– Nie... jeszcze nie – dziewczyna odrzekła ze śmiechem.

– A... a Ty kim jesteś?

– Odpowiedź nie jest taka prosta. Ale wiedz, że insygnia, które niesiesz ze sobą, należą do mnie.

– Ale nie jesteś ani królem, ani papieżem!

– Bynajmniej...

– No i co teraz...?

– Teraz nadszedł czas, aby insygnia wróciły do mnie.

– A kim Ty jesteś, by się tego domagać, krewną jakiegoś cesarza? – zapytał z nutą sarkazmu.

– Nie, jestem Ramodea! – zaśmiała się uradowana dziewczyna – ... albo raczej jej alter ego.

Dwaj chłopcy podeszli do Tebaldiego i otworzyli walizkę, wyjmując z niej szkatułkę, ale nie podali jej Ramodei, tylko jemu.

– Otóż teraz – powiedziała panienska – teraz będziesz miał dowód, że szkatułka należy do mnie. Otwórz ją!

Tebaldi chwycił ją, ale zorientował się szybko, że nie było na niej niczego ruchomego ani żadnego zamka, a nawet jeśli były, to skrywały się pod płaskorzeźbą ze złota i kości słoniowej, które ją zdobiły.

– Nie, nie dam rady, ona się nie otwiera! – krzyknął oficer zrezygnowanym tonem.

Chłopcy podnieśli szkatułkę i podali ją Ramodei, która lekko jej dotknęła wyszeptawszy uprzednio tajemnicze słowo, którego Tebaldi nie zdołał zrozumieć.

Wtedy szkatułka otworzyła się i ukazała przedmioty, które zawiera: niewielką rolkę pergaminu zwiniętą na drążku z kości słoniowej i z czerwono-purpurową wstążką, kamień zdobiony kryształem górskim oraz gałązkę laurową na złotej płytce.

Trzy przedmioty, które można było kupić na stoisku u handlarza za parę groszy.

To wszystko? – pomyślał Tebaldi, lecz dziewczyna zdawała się czytać w jego myślach.

– Na pozór mogą wydawać się bezwartościowe, ale to są autentyczne insygnia Cesarstwa Zachodniorzymskiego, które barbarzyńca Odoaker wykradł Romulusowi Augustulusowi i wysłał cesarzowi wschodniorzymskiemu.

– A dlaczego nie zachował ich dla siebie?.

– Myślał jak ówczesny barbarzyńca. Kiedy zdał sobie sprawę z pozornej skromności zawartości szkatułki, postanowił wysłać ją do Konstantynopola, niemal dla żartu. On chciał innych skarbów: łupów cesarskich, ale nie cesarstwa, które choć umierało, wciąż ciszyło się szacunkiem. W jego sercu zakorzenił się instynkt sępa, a nie orła.

Dziewczyna wzięła więc kamień i założyła go na palec serdeczny prawej ręki, następnie chwyciła laurową gałązkę i przytrzymała ją w dłoniach złożonych w muszelkę. W jednej chwili gałązka zazieleniła się i szybko zaczęła pączkować. Niewiasta zbliżyła ręce do głowy i owinęła czoło koroną z zielonego lauru. W końcu, prawą dłonią podniosła pergamin niczym berło. W tym momencie błysk czerwonego światła wydostał się z kamienia, a Tebaldi ujrzał wyraźne rysy rzymskiego orła wypływające z kryształu górskiego.

Młoda kobieta zasiadła na tronie: – Sądzę, że teraz wszystko jest dla Ciebie jasne. Patrz, na tym pergaminie stoi zapisane tajemne imię Rzymu – to, które niewielu wybranych miało zaszczyt wymówić – przerwała na chwilę, by po chwili podkreślić solennym tonem: „*Moje tajemne imię*”.

– A więc to Ty jesteś...

– Tak, oczywiście, to ja jestem boginią Rzymu, albo, jeśli wolisz, *nieśmiertelnym duchem Rzymu*.

– Ale ja zawałam moją misję... to nie Tobie miałem dostarczyć insygnia, tylko papieżowi.

– Niczego nie zawałam. To przeznaczenie, które jest zwierzchnikiem wszystkich Bogów i wszystkich śmiertelników, przyniosło Cię tutaj, gdyż dziś skończyła się pewna era. Było zapisane w gwiazdach, że insygnia Cesarstwa Zachodniorzymskiego opuszczą Ziemię właśnie dziś. Ale tak nie będzie na zawsze. Powstanie nowe, jeszcze potężniejsze Cesarstwo Rzymskie, musi upłynąć jednak jeszcze wiele epok nim niebiosa staną się znów mu przychylnie.

Na chwilę spojrzała na dwóch chłopców, po czym zwróciła się ponownie do Tebaldiego: – Teraz muszę się pożegnać. Tak jak Bogowie ciemności przyprowadzili Cię przed moje oblicze, teraz odprowadzą Cię z powrotem do Twoich czasów...

Kiedy porucznik Casati odnalazł Tebaldiego, który w stanie zaburzenia psychicznego włóczył się po ruinach Forum Romanum, nie mógł zrozumieć, w jaki sposób tamten zdołał przeżyć utonięcie w Tybrze.

Upłynął tydzień, odkąd po daremnych poszukiwaniach, uznano go za zmarłego.

Nawet Tebaldi nie był w stanie wytłumaczyć swojej zaginięcia, ani też w jaki sposób powrócił.

– Duce jest już u schyłku żywota – powiedział Casati. – Szukał Cię usilnie ostatnimi dni... Zamach stanu nie doszedł do skutku. Generał Ludovici, dowódca milicji, został nowym szefem rządu. Ostatecznie zostało podpisane porozumienie z królem, ale nie wiadomo, jak długo potrwa... Następnie dokończył: – ... zaprowadzę Cię do wodza.

Tebaldi powoli podszedł do wielkiego łoża, na którym spoczywał Mussolini.

Duce zauważył jego obecność. Znalazł siłę, by przemówić i zwracał się do niego po imieniu: – Czekałem na Ciebie... Romano... Nie było Cię wiele dni... Ale wiem, że doprowadziłeś do końca misję, którą Ci powierzyłem... Jesteś jak Twój ojciec... Znałem go dobrze.

Tebaldi zaniemówił. Nie mógł oszukiwać umierającego, ani tym gorzej, nie mógł go zawieść.

– Parę dni temu, kiedy Cię nie było, – kontynuował Duce – miałem sen i zobaczyłem raz jeszcze insygnia... i udało mi się ich dotknąć po raz ostatni...

– Ale... ale udało Ci się otworzyć szkatułkę!?

– Tak, wtedy miałem zaszczyt to uczynić... i przeczytać imię napisane na pergaminie... tajemne imię Rzymu. Byłem ostatnim śmiertelnikiem, któremu było dane to zrobić... Teraz są w bezpiecznym miejscu, z dala od szponów sępa – na orlich skrzydłach...

Tebaldi zadrżał. Mussolini użył dokładnie tych samych słów, które wypowiedziała tajemnicza niewiasta.

Kontynuował z coraz większym niepokojem: – Ci, którzy jutro rządzić będą Rzymem, podzielą łupy cesarstwa, ale nie zdołają osiąść *nieśmiertelnego ducha Rzymu*... ten należy do nas i należeć będzie do samego końca... W smutnych czasach, które nas czekają, miernym władcom będzie się wydawać, że będą rządzić światem na zawsze. pozostawmy ich w tej iluzji, ponieważ dla nas ważne jest to, że orzeł wzniesie się wysoko, w sposób niewidoczny dla ich oczu... na Zachód...

Duce zmarł parę godzin później.

W tym momencie mewy wzniosły się z bagien Tybru i po raz pierwszy przeleciały nad Kapitołem, pod niebiosa, nad którymi dotychczas górował orzeł.

Na znak zwycięstwa, przekazali wiatru swoje krzykliwe wezwanie, łudzac się, że niebiosa nie słyszały nigdy bardziej śpiewnego głosu.

przekład z języka włoskiego: Łukasz Jan Berezowski

Nota o autorze:

Mario FARNETI, ur. 1950 r. w Gubbio (Włochy) – włoski pisarz, dziennikarz i dokumentalista, z wykształcenia politolog. Pochodzi z rodziny o tradycjach antykwarystycznych i patriotycznych (jego rodzice byli partyzantami antyfaszystowskimi). Od 1983 roku mieszka w Rzymie, gdzie pracuje w Watykańskim Ośrodku Telewizyjnym. Laureat i finalistą prestiżowych włoskich i światowych nagród w dziedzinie literatury, m. in. nagrody im. J. R. R. Tolkiena (1989, 1991), *Premio Italia* (2002), *Le Ali della fantasia* (2005), *Premio Acqui Storia* (2010), *Premio Scanno* (2010). Odznaczony Orderem Zasługi Republiki Włoskiej przez Prezydenta Carla Azeglia Ciampiego w 2005 roku.

Opowiadanie *Occidente* pierwotnie opublikowane zostało w tomie *Fantafascismo! storie dell'Italia ucronica* (2000) – antologii tekstów fantastycznych pod redakcją Gianfranco de Turrisa, na łamach której wybrani prozaicy zaprezentowali alternatywne wizje dziejów po II wojnie światowej. Farneti rozbudował scenariusz faszystowskiej hegemonii nad światem w

pełnometrażowej trylogii, na którą złożyły się powieści: *Occidente* (2001), *Attacco all'occidente* (2003) i *Nuovo impero d'occidente* (2006). Akcja jego ostatniego dzieła *Imperium solis* (2009) toczy się w IV wieku n.e. na kontynencie amerykańskim, odkrytym i skolonizowanym przez cesarza rzymskiego Juliana.

Gianfranco DE TURRIS, ur. 1944 r. w Rzymie – włoski pisarz, eseista i krytyk literacki, z wykształcenia prawnik. Dziennikarz i dyrektor działu kulturalnego RAI. Jest również sekretarzem fundacji im. Juliusa Evoli i autorem prac poświęconych sylwetce filozofa. Twórczością prozatorską trudni się od lat 60. XX wieku: początkowo publikując w czasopiśmie fantastycznych *Oltre il cielo* i *L'altro regno*, w późniejszym okresie redagując samodzielne antologie. W latach 80. i 90. wielokrotny laureat nagrody literackiej *Premio Italia* w różnych kategoriach.

Ważniejsze dokonania: *Fantafascismo!* (2000), *Roma fantastica* (2001), *Se l'Italia: manuale di storia alternativa da Romolo a Berlusconi* (2005), *Altri risorgimenti* (2011).